

Nacieszyć oczy, zapamiętać widok



FOT. ARCHIWUM PRZEMYSŁAWA ZARĘBY

Z Przemysławem Zarębą, który sukcesywnie traci wzrok, ale nie schodzi z siodełka, rozmawia Jakub Terakowski

Na łamach „Rowertouru” rozmawiamy zawsze albo o wyprawach, które już się odbyły, albo o planowanych. Tym razem jednak chciałbym porozmawiać o wyprawie, która się nie odbędzie...

– Tak, moja wymarzona wyprawa rowerowa do Hiszpanii już nigdy nie dojdzie do skutku. Nic się w tej kwestii nie zmieni, może być jedynie gorzej. Tracę wzrok, proces postępuje i przyspiesza. To retinitis pigmentosa (zwyrodnienie barwnikowe siatkówki), choroba wciąż nieuleczalna. Moje obecne pole widzenia obejmuje już mniej niż pięć procent obszaru, który dostrzega zdrowy człowiek. Patrząc dokładnie na wprost, widzę jeszcze całkiem dobrze, ładną kobietę z daleka zauważę... (*śmiech*). Ale gdyby stała obok mnie nawet Miss Polonia, to ją przeoczę. Trudno to wytłumaczyć osobie widzącej. Na swojej stronie internetowej prezentuję schemat, gdzie po prawej stronie jest pełen kadr, zgod-

ny z percepcją człowieka zdrowego, a z lewej tylko mały punkt w centrum, na czarnym tle. I pytają mnie ludzie, czy ja też widzę tę czerń? Nie, widzę tylko ten mały punkcik, poza nim nie ma nic; można to porównać do przysłony aparatu fotograficznego. Moja rowerowa wyprawa do Hiszpanii zagrażałaby więc bezpieczeństwu mojemu i innych; musiałem zrezygnować. Jeszcze w lipcu nie na to nie wskazywało, byłem przekonany, że do całkowitego zamknięcia pola widzenia zostało mi dobrych kilka lat. Doskonale pamiętam ten dzień: prowadziłem rower, szedłem z kolegą, rozmawialiśmy. Nagle zahaczyłem rowerem o słupek, którego w ogóle nie zauważyłem. Wieczorem szukałem jeszcze usprawiedliwień: zagadałem się, każdemu może się zdarzyć. Ale nazajutrz poszedłem do lekarza. Nie pozostawił mi złudzeń: to ostatnie stadium choroby, kolejne zawężenie będzie skutkowało całkowitym oślepieniem.

Czy wcześniej dużo jeździłeś na rowerze?

– Tak, najpierw w dzieciństwie, a potem, gdy uświadomiłem sobie, że nie mam już czasu do stracenia. Urodziłem się i nadal mieszkam w małej podlaskiej wsi. Jako dzieciak, nie wiedząc jeszcze o wadzie wzroku, próbowałem dorównać kolegom, ścigałem się z nimi na rowerach, wspinałem po drzewach. Już wtedy jednak oczy odmawiały mi posłuszeństwa, co rówieśnicy uświadamiali mi z właściwą dzieciom brutalnością. Ich ulubioną rozrywką było wprowadzanie mnie na słupek; najchętniej wieczorem, bo o ile za dnia widziałem jeszcze całkiem dobrze, o tyle po zmroku gwałtownie ślepelem. Chodziłem jeszcze wówczas do zwyczajnej podstawówki, na lekcjach wychowania fizycznego „charataliśmy w gałę” i nikt oczywiście nie chciał mnie mieć w swojej drużynie. Postawcie Zarębę w bramce, to każdą szmatę puści... Tata zabrał mnie ▶

do okulisty, trafiłem do liceum dla uczniów niewidomych i słabowidzących w Laskach. Byłem wtedy wciąż jeszcze dość aktywny fizycznie, uwielbiałem jazdę na rowerze, nie zniechęcały mnie nawet połamane ręce, nogi i wstrząsy mózgu. Wróciłem ze szkoły w Laskach i... zamknąłem się w domu. Popadłem w depresję, poddałem się, przez kilka lat niemal nie wychodziłem za próg. Tata na próżno próbował mnie zmobilizować. Zmarł trzy lata temu. Zostałem sam, załamany i bezsilny. Zastanawiałem się, czy chcę jeszcze dalej żyć...

Postanowiłeś żyć...

– Tak, na szczęście postanowiłem żyć. Poszedłem do lekarza, zapytałem, jakie ćwiczenia mogę wykonywać bez obawy o utratę wzroku. Powiedział, że mogę pływać, spacerować i jeździć na rowerze. Wybrałem rower; również ze względów ekonomicznych, bo po śmierci taty musiałem często jeździć do Łomży, załatwiać wiele spraw, a na taksówkę nie było mnie stać. Wyciągnąłem z szopy stary rower taty. Okazało się, że pojazd jest w lepszym stanie niż ja. Początki miałem trudne, ważyłem 130 kilogramów. Pierwsza wycieczka to była porażka, na dystansie pięciu kilometrów musiałem dwa razy odpocząć, a do domu wracałem tydzień. Stopniowo jednak polubiłem te rowerowe przejażdżki i zacząłem jeździć także dla przyjemności. Poczulem się lepiej, wróciła mi chęć do życia. Teraz 100 kilometrów z sakwami to dla mnie pestka. A przecież, ze względów bezpieczeństwa, pedałuję powoli i w każdym ładniejszym miejscu staję, aby nacieszyć oczy i zapamiętać widok...

Twoją pierwszą dużą wyprawą rowerową była ta wokół Polski.

– Tak, pierwszą i – jak się okazało – jedyną. Jedyną wielodniową, z sakwami, namiotem, śpiworem i całym ekwipunkiem biwakowym. To było jak skok na głęboką wodę. Nie miałem



Aaaaaaaa

żadnego doświadczenia, a rower musiałem pozyczyć, bo bicykl taty, jakkolwiek sprawny, daleki był od niezawodności. Z opresji wybawiła mnie Katarzyna Zwolak, która – zmuszona z powodu kontuzji przerwać swoją wyprawę do Stambułu – przekazała mi swój pojazd. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że w tak długą drogę nie mogę wybrać się na dość przypadkowym rowerze, zupełnie niedopasowanym do mojego wzrostu. Początek mojej wyprawy był więc bardzo ciężki, dokuczał mi kręgosłup, bolały mnie stawy i kolana, brałem tabletki przeciwbólowe, stosowałem maści. Na szczęście w Nowym Dworze Gdańskim dostałem rower „uszyty na miarę”.

Dostałeś?

– Kupiłem z bardzo dużym rabatem. Zaproponował mi to właściciel sklepu Orion, który obserwował moją wyprawę na Facebooku i przeczytał o moich kłopotach. Na nowym rowerze wszystkie dolegliwości ustąpiły błyskawicznie. Przez pierwszych kilka kilometrów czułem się jednak dość niepewnie; coś mi nie pasowało, coś mnie niepokoiło, kołysałem się

dziwnie... Okazało się, że siodełko, w przeciwieństwie do poprzedniego, było amortyzowane (*śmiech*). Różnica kolosalna, rzecz jasna na korzyść, ale wymagająca przyzwyczajenia.

Relacjonowałeś swoją wyprawę na bieżąco?

– Tak, specjalnie z myślą o niej założyłem profil na Facebooku. Zainteresowanie było zaskakująco duże, zapewne za sprawą mediów, bo informacje o mojej wyprawie pojawiły się dziesiątki razy w internecie, telewizji i prasie. Media lubią sensacje, „Ta ostatnia wyprawa...”, „Zanim straci wzrok...” i tym podobne tytuły miały przyciągać uwagę. I przyciągały. Nigdy nie epatowałem swoją utratą wzroku, czasem próbowałem dementować nazbyt hojbowe wieści. Nie broniłem się przed mediami, gdyż po każdej takiej publikacji nie tylko rosła skokowo liczba obserwujących mój profil, lecz nawiązywałem też kolejne cenne znajomości. Niezwykła była także liczba przychylnych komentarzy i głosów, od których serce mi rosło, na przykład „przywracasz mi wiarę w siebie, uskrzydłasz, dodajesz sił” – czytałem. A co najbardziej zaskakujące to, że w znakomitej większości reagowali tak ludzie zdrowi. Korzyść była więc obopólna, bo mnie takie reakcje też uskrzydlały, dodawały sił i mobilizowały, gdy miałem już dość. Nie mogłem przecież rozczarować moich followersów... (*śmiech*). Dla wielu osób okazałem się wsparciem, inspiracją czy wręcz telefonem zaufania. Starłem się rozmawiać z każdym i każdemu odpisywać, lecz to wyzwanie trochę mnie przerosło. Nie czuję się ani wystarczająco doświadczony, ani kompetentny, aby udzielać porad z kręgu psychoanalizy. Ale o jednym sukcesie opowiem: skontaktował się ze mną chłopak również cierpiący na retinitis pigmentosa, zakochany w dziewczynie, której nie odważył się powiedzieć o swoim uczuciu właśnie ze względu na chorobę. Zmobilizowałem go do ujawnienia obu swoich słabości. Dzisiaj są szczęśliwie zakochaną parą. To tylko jeden z przykładów. Nie spodziewałem się takich owoców mojej wyprawy.

A skąd w ogóle pomysł na nią?

– Ewoluuował stopniowo. Po pierwszych krótszych przejażdżkach zacząłem szukać w przewodnikach oraz internecie informacji o dłuższych trasach w okolicy. Trafiłem na opis odnogi szlaku, prowadzącej na – odległą od Łomży o 50 kilometrów – Strękową Górę. To dopiero byłoby wyzwanie – pomyślałem – pojechać tam jednego dnia i wrócić nazajutrz. Ostatecznie ten wyjazd nie doszedł do skutku, lecz byłem tam podczas wyprawy okrężnej. Bo pomysł dojrzał: a może – zamiast wracać ze Strękowej Góry do domu – wybrać się jeszcze do Elbląga? A może nie poprzestawać na Elblągu? Tydzień przed wyjazdem postanowiłem pokonać całe Green Velo, po kolejnych trzech



Aaaaaaaa

dniach dorzuciłem jeszcze wybrzeże Bałtyku, a w przededniu zdecydowałem się na pętlę dookoła Polski. I tak pojechałem: bez przygotowania, bez planu, bez doświadczenia... (*śmiech*)

Którędy prowadziła trasa Twojej wyprawy? Ściśle wzdłuż granic Polski?

– Niezbyt. Nie oddalałem się znacząco od granicy, jadąc Green Velo na wschodzie, wzdłuż Bałtyku na północy oraz ścianą zachodnią, natomiast południowe rubieże Polski pominąłem. **Ile kilometrów przejechałeś?**

– Nie wiem, nie liczyłem. Jechałem dla przyjemności, nie dla kilometrów. Nie miałem szczegółowo zaplanowanego harmonogramu; zazwyczaj improwizowałem. Nocowałem na polach namiotowych, a niekiedy korzystałem z zaproszeń osób poznanych na Facebooku lub wręcz po drodze. Cała wyprawa, wliczając w to przerwy, trwała dwa miesiące.

Obyło się bez wypadków?

– Spowodowanych przez retinitis? Raz, przyznaję – mea culpa – wyjeżdżając z drogi podporządkowanej, chociaż rozglądałem się bardzo uważnie, nie uważałem samochodu, który miał pierwszeństwo. Na szczęście kierowca wykazał się refleksem. I raz, w pobliżu Elbląga, ktoś z wyprzedzającego auta rzucił we mnie butelką i o mało nie wpadłem do rowu, ale nawet mając pełne pole widzenia, nie byłbym w tej sytuacji sprawniejszy. Myślę, że całą trasę pokonałem w dwójnasób ostrożniej i wolniej niż zdrowy rowerzysta. Ostrożniej – bo jestem świadomy swoich ograniczeń, a wolniej – bo chciałem zobaczyć, zapamiętać i sfotografować jak najwięcej.

Oglądając Twoje zdjęcia, odniosłem wrażenie, że w sposób nieprzeciętny

zwracasz uwagę na detale. Zauważasz szczegóły, które umykają nawet pieszym, o rowerzystach nie wspominając...

– Może to właśnie soczewkowe pole widzenia powoduje, iż makrofotografia jest dla mnie ciekawsza od krajoobrazowej? Nie wiem. Pokazując te zdjęcia, chcę uzmysłowić, że piękne potrafi być żdźbło trawy kołyszące się na wietrze, czy liść mokry od rosy, co tak często nam umyka. Namawiam, aby zachwycając się pejzażami, nie przeoczyć uroku najbliższego metra. Przecież każdy zapierający dech w piersiach widok tworzą właśnie detale; warto je zauważyć.

Wróciłeś z wyprawy...

– Wróciłem z gotowym planem następnej wyprawy, który spalił na panewce... Czasem ludzie pytają mnie: co dalej? Nie mam pojęcia. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie ani im, ani sobie. Cieszę się tym, co mam. Martwię się będę później. Tymczasem pod potylicą zbieram bazę widoków na przyszłość. Podobno niewidomym, ociemniałym za życia śni się to, co kiedyś widzieli... **Jeździłeś kiedykolwiek na tandemie?**

– Domyślam się, do czego dążysz... Fundacja Niewidomi na Tandemach, Waldek Rogowski, Krzysztof Kusz, Monika Czerczak, „Siwobrody”, znam ich, byłem z nimi na jednej wycieczce. Tak, jeździłem na tandemie, zarówno jako kierowca, jak i pasażer. Czułem się świetnie, bawiłem doskonale, lecz to nie dla mnie. Chociaż sama Anita Demianowicz obiecała, że będzie moją pilotką... (*śmiech*). Póki starczy wzroku, chcę podróżować samodzielnie, niekoniecznie rowerem. Mam jeszcze dwa plany. Chciałbym zobaczyć wszystkie polskie parki narodowe i wyruszyć na wyprawę

dookoła świata. Parków widziałem już ponad połowę: 12 z 23, a pieniądze mam odłożone na kolejne dwa. A dookoła świata zamierzam wyruszyć w ślad za Izą i Piotrem Miklaszewskimi, którzy realizują projekt „Podróż z Pazurem”. Podczas pierwszej rozmowy Piotr rozbawił mnie, mówiąc „spójrz na to szerzej”, co w przypadku osoby z tak zawężonym polem widzenia jak moje brzmi dość przewrotnie. Staram się jednak i robię, co mogę, aby mimo wszystko patrzeć w przyszłość szerzej. Nawiązałem współpracę z fundacją dla niepełnosprawnych Avalon, ogłosiłem też zbiórkę na swojej stronie. Wprawdzie dotychczas udało mi się zebrać tylko 200 złotych, ale nie upadam na duchu. Tracąc wzrok, optymistycznie patrzę na to życie. I mam nadzieję, że zdążę, bo wyprawa dookoła globu będzie ostatnią samodzielną podróżą, pożegnaniem ze światem ludzi widzących. **Rozdajesz sprzęt, widziałem Twoje ogłoszenie „oddam sakwy w dobre ręce”...**

– Już oddałem, dostał je chłopak po wypadku, wracający właśnie na rower, z którego nie masz już zsiąść. **Jeździsz na nim jeszcze?**

– Ostrożnie i tylko po okolicy. Ostatnio wokół Łomżyńskiego Parku Krajoobrazowego, trasą niemal w całości prowadzącą po szlakach wyłączonych z ruchu. A tęsknocie na przekór jeżdżąc po polnych drogach w pobliżu domu. Trudno mi rozstać się z rowerem...

● Przemysław Zaręba. Ma 36 lat, mieszka na obrzeżach Łomży. Sukcesywnie traci wzrok, choruje na nieuleczalne zwyrodnienie barwnikowe siatkówki (ostatnie stadium). Jest absolwentem liceum językowo-informatycznego dla uczniów niewidomych i słabowidzących w Laskach. Przed rękiem przejechał na rowerze Polskę dookoła. Prowadzi stronę www.jedziemyporadosc.pl



FOT. 3X ARCHIWUM PRZEMYSŁAWA ZARĘBY

Aaaaaaaa